Poul Anderson

Żołnierz z gwiazd

(The Soldier from the Stars)

Fantastic Universe, June 1955
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

I

To był znany z historii schemat – pozbawienie ludzi wolności, zniszczenie fundamentów cywilizacji. Ale ludzie zawsze zaczynali budować wszystko od początku.

Był wczesny poranek, miejscowego czasu, kiedy poczułem, że podłoga samolotu pochyla się do przodu i zaczyna się długie zejście do lądowania. Poruszyłem się niespokojnie, rozciągając zesztywniałe mięśnie i mrugając zapiaszczonymi powiekami. Jeśli nosi się ciężar takiej wiedzy jak nasza, nie śpi się dobrze.

Nie to, żeby na mnie osobiście spoczywała jakaś specjalna odpowiedzialność. Byłem tylko ochroniarzem Samuelsa i Langforda; podczas tej całej sprawy, byłem niewiele więcej niż tylko obserwatorem. Może jednak miałem szansę zobaczyć więcej niż inni, dlatego właśnie piszę to dla tych, którzy przyjdą po nas.

W samolocie tłoczyło się kilkunastu innych ludzi, funkcjonariuszy Secret Service, i muskularnych żołnierzy z naładowanymi karabinami między kolanami. Był to jednak tylko pusty gest, i wszyscy zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Taruz z Thashtivaru sardonicznie zezwolił, aby posłowie mieli ze sobą jednego ochroniarza na osobę, jeśli dzięki temu będą spokojniejsi. I to właśnie, byłem ja.

W fotelu obok mnie poruszył się Samuels. Jasne blade światło poranka wpadło przez okno i musnęło jego włosy, otaczając mu głowę białą aureolą. Twarz miał szarą i starą, zupełnie nie jak wybitny mąż stanu i amerykański potentat, którym był. Wtedy jednak, tego zimnego poranka, wszyscy czuliśmy się przytłoczeni.

Spróbował uśmiechnąć się pokrzepiająco.

— Witaj, Hillyer — powiedział do mnie. — Dobrze się spało w nocy?

— Niespecjalnie, sir. Tylko drzemałem.

— Szkoda, że mnie nie udało się choć tyle — westchnął Samuels. — No, cóż.

Doktor Langford przystawił nos do okna.

— Zawsze chciałem zobaczyć Azory — zauważył. — Nigdy jednak nie myślałem, że stanie się to w takich okolicznościach.

Wyglądał bardziej po ludzku, mniej zziębnięty i nie tak pozbawiony życia, jak reszta z nas. Jego ostre, orle rysy twarzy, wykrzywiały się w pozbawionym wesołości uśmiechu, a strzecha posiwiałych włosów była w takim samym nieładzie, jak zawsze.

Może słyszeliście o doktorze Langfordzie, fizyku, który wprowadził cybernetykę do biologii, neurologii, psychologii i lepiej rozumiał historię, niż większość profesorów z tej dziedziny. Był najlepiej przygotowanym człowiekiem w kraju, aby służyć jako doradca naukowy Samuelsa, chociaż zastanawiałem się, do czego to się przyda.

Zobaczyłem przez chwilę wznoszącą się przed nami wyspę, ale właśnie w tej chwili samolot z szarpnięciem podszedł do lądowania na pośpiesznie

powiększonym lotnisku. Za jego budynkami widać było malutkie miasteczko o skośnych dachach i tuż za nim stromą ścianę ziemi, wznoszącą się aż do ziemistego nieba. Na Flores mieszka zaledwie parę tysięcy ludzi.

Nasi strażnicy wyszli przed nami, żołnierze uformowali pierścień wokół drzwi, a ludzie z Secret Service naradzali się z portugalskimi oficjelami.

Langford zachichotał.

— I po co te głupoty? — oświadczył. — Gdyby Taruz chciał nas załatwić, ci chłopcy nie zrobiliby większej różnicy niż dodatkowe muchy pod opadającą packą.

— Są jeszcze Rosjanie — odparł ze zmęczeniem Samuels. — Mogliby czegoś spróbować, nawet pomimo tego, że jesteśmy na neutralnym gruncie. — Zdjął okulary i przetarł sobie oczy. — W tym miejscu, w którym można kupić największą potęgę na Ziemi, nie wolno nam nikomu ufać. Nie jestem nawet pewien, czy mogę zaufać sobie.

Wyszliśmy na zewnątrz, stawiając czoła zimnemu, słonemu wiatru i poddenerwowanej osobie niewielkiego portugalskiego pułkownika. Rozejrzałem się po lotnisku. Na jednym jego krańcu znajdowało się kilka innych dużych samolotów. Zauważyłem oznaczenia brytyjskie, francuskie oraz czerwoną gwiazdę, i przesunąłem ukradkowo dłoń, na uspokajający uchwyt broni pod pachą. Nawet kiedy tam staliśmy, wysłuchując gadatliwego powitania, wysoce specyficznego Anglika, na niebie pojawiła się kolejna plamka, zatoczyła koło i podeszła do lądowania. Egipski!

Orły się zbierają, pomyślałem.

— Jeszli panhowie hczą zjehszcz hszniadanie, to phroszhę ze mną — powiedział pułkownik. — Rhozmowy nie rozpotszną szię jehszcze przez wiehle godzin.

Wyszliśmy za nim z lotniska. Rachityczny samochód rządowy zabrał nas do domu, który wyglądał na zarekwirowany na tę okazję, w którym serwowano całkiem solidne śniadanie – a nie zwykłą kontynentalną cafe complait.

Nie miałem specjalnie apetytu, ale wepchnąłem w siebie całkiem sporo, nie wiedząc kiedy mogę potrzebować energii. Niewiele rozmawiano, a nawet jeżeli, to uciekano od powodów, dla których się tu znaleźliśmy. Najbliżej prawdy był sam Langford, kiedy zapytał:

— Ile narodów będzie reprezentowanych?

— Dwadzieszczia thszy — odparł pułkownik. — Wielki konghres, czo?

— Oczywiście — powiedział Langford. — Oferenci będą pracowali razem…

— Panhowie, phrosze — pułkownik wyglądał na zdenerwowanego. — To jest zupełnhe poza moją dziedzsziną.

To był ze strony Langforda żart, ale podejrzewam, że pułkownik miał ścisłe rozkazy. Oferując Taruzowi miejsce na wyspie, Portugalia w maksymalnym zakresie podkreślała swoją neutralność. Nie stanie do licytacji – skąd wzięłaby pieniądze? – i nie mogła pozwolić na narady między delegatami, poza siedzibą Taruza.

Wyszedłem potem z Samuelsem i Langfordem do ogrodu. Poseł nerwowo przeżuwał niezapalone cygaro, zaś naukowiec zaśmiecał ziemię

niedopałkami papierosów; ręce miał pożółkłe od nikotyny. Należąc do grupy rzadkich zwierząt – niepalących – skoncentrowałem się na wypatrywaniu ewentualnych zabójców, ale nie mogłem nie słyszeć ich rozmowy.

— Czy jesteś pewien, że Brytyjczycy nie będą wchodzili nam w drogę — spytał Langford.

— W każdym bądź razie, nie na początku — odparł Samuels. — Jak wiesz, sir Wilfred reprezentuje całą Wspólnotę; to niemałe wsparcie finansowe, a razem z dolarem Kanadyjskim, jest warte więcej niż nasze i wszystkie inne. Gdyby zdobył usługi Taruza wyłącznie dla Jej Królewskiej Mości, byłoby to dla niego piękne trofeum i zamknęłoby usta tym wszystkim krzykaczom, wrzeszczącym o amerykańskiej dominacji.

Samuels wzruszył ramionami.

— Szczerze mówiąc, nie miałbym nic przeciwko temu. Ze strony Brytyjczyków nie mamy się czego obawiać, a gdyby to oni zapłacili Taruzowi, byłyby to dla nas ogromne oszczędności. Ale, oczywiście, zdajesz sobie sprawę, jak nasi nacjonaliści zaczęliby wtedy wrzeszczeć. — Dorzucił trzeźwą uwagę: — Najważniejsze, to uniemożliwić pozyskanie tych oddziałów Rosjanom.

— Nie podoba mi się to — stwierdził Langford. — Poczytaj sobie trochę historię i popatrz co się działo ze wszystkimi światowymi potęgami, kiedy zaczynały wynajmować najemników.

— A jaki mamy wybór? — wzruszył ramionami Samuels. — Zwłaszcza w sytuacji, kiedy ci najemnicy mogą zniszczyć każdą armię na Ziemi.

— Mimo wszystko żałuję, że nie trzymali się od nas z daleka — powiedział Langford.

— Nie wiem. No dobrze, teraz będziemy musieli zapłacić im ogromną sumę; ale potem będziemy bezpieczniejsi – na zawsze, a w każdym bądź razie na wiele lat. Będziemy mogli poluzować ramy militaryzacji, która niszczy całą naszą tradycję; nie będziemy się bali, że nasze miasta zostaną zniszczone, nie będziemy musieli słuchać tych wszystkich, którzy chcą zdławić nasze wolności, w paranoicznym polowaniu na szpiegów – nie, jeśli Taruzowi można ufać, a ja uważam, że tak, to może być największa rzecz, jaka kiedykolwiek przydarzyła się ludzkości.

— Może to banał, ale przypominam, że pewien żydowski cieśla był znacznie ważniejszy, niż jakikolwiek żołnierz przed nim czy po nim — kwaśno odparł Langford. — Nie jestem specjalnie religijny, ale czasami banały zawierają w sobie ziarno prawdy.

Po tym, rozmowa się zakończyła. Nie mieli sobie wiele do powiedzenia. A mimo wszystko Samuels miał rację, jak sobie myślałem; czy mieliśmy jakiś wybór?

W ciągu ostatnich trzech miesięcy, dowiedzieliśmy się niewiarygodnych rzeczy. Wokół naszej planety unosiły się majestatycznie wielkie statki kosmiczne, zawisły nad każdą stolicą, zagłuszając miejscowe rozgłośnie radiowe transmisją w siedmiu najważniejszych językach.

— Jesteśmy najemnymi kompaniami z Tashtivaru, dowodzonymi przez generała Taruza i szukamy pracodawcy…

Aroganckie zaproszenie, byśmy zrobili to, co dla nas najgorsze, zaś wybuchy wszystkiego, począwszy od pocisków z dział BB do bomb wodorowych, nawet nie zadrasnęły tych lśniących, metalowych obiektów; nieskuteczne były również trujące gazy, radioaktywny pył, czy przenoszone drogą powietrzną wirusy.

Myślałem także o tych trzech demonstracjach, widzianych na całym świecie i oczywistych dla wszystkich, którzy je oglądali. W jednej z nich zniknęła w białym płomieniu całkiem pokaźnych rozmiarów niezamieszkana wyspa, podczas gdy wszystkie sejsmografy na Ziemi zatrzęsły się szaleńczo. W kolejnej, nasze działa i maszyny, po prostu odmówiły działania. Zaś w trzeciej, na obszarze o promieniu wielu mil, ludzie i zwierzęta padli nieprzytomni pod działaniem jakiejś nieznanej siły i leżeli tak przez kilka godzin.

Wymagało to wiedzy naukowej, przekraczającej naszą tak dalece jak nasza przekraczała poziom łuków i strzał, wiedzy umożliwiającej pokonanie przestrzeni między gwiazdami. I wiedza ta była do dyspozycji tego, kto złoży najlepszą ofertę, do dowolnych defensywnych i ofensywnych celów, jakie przyjdą mu do głowy.

Musieli nas badać już od długiego czasu, unosząc się gdzieś w kosmosie lub lądując w tajemnicy. Dogłębność ich wiedzy na nasz temat, wskazywała że ich podstawowe metody naukowe przekraczały wszystko, co byliśmy w stanie sobie wyobrazić. Nawet ogłoszenie Taruza ujawniało ich znaczną sprawność finansową. Brał pod uwagę płatność tylko w dolarach, funtach szterlingach lub frankach szwajcarskich; kurs wymiany, nie ten oficjalny, ale obowiązujący w Tangierze – jednym z niewielu prawdziwie wolnych rynków pieniężnych. Jemu i jego ludziom musiano zezwolić na wydanie swoich pieniędzy w taki sposób, w jaki będą chcieli; nie wolno było wymuszać żadnych transakcji sprzedaży; ale zawierające kontrakt rządy nie mogły ich zabronić.

— Dlaczego nie ONZ? — pytanie Langforda było jednym z wielokrotnie zadawanych, z niepokojem, przez wszystkich ludzi, którzy kochali całą swoją rasę. — Dlaczego nie porozumieli się z ONZ, oferując im…

— Oferując im co? — odpowiedział pytaniem Samuels. — ONZ nie ma armii, i kto by zapłacił za to, żeby ją w taką wyposażyć? Oni nie są zainteresowani w przekazaniu nam swojej wiedzy – pewnie całkiem niezły pomysł, biorąc pod uwagę, ja mało cywilizowani jesteśmy. Taruz to żołnierz i sprzedaje swoje usługi jako żołnierza.

— Wiem. — Twarz Langforda była ponura. — Tylko mówię, co chciałbym, żeby zrobił. Nie przypuszczam jednak, żeby rozsądne było oczekiwanie, że na jakiejś innej planecie rozwinie się rasa świętych. Muszą być równie chciwi, gruboskórni i krótkowzroczni, jak my.

— Zastanawia mnie coś innego — zauważył Samuels. — Dlaczego w ogóle pośród gwiazd istnieją tacy najemnicy. Wydawałoby się, że o tyle bardziej rozwinięta cywilizacja, powinna być bardziej dojrzała…

— Mogę się tylko domyślać — odparł Langford, — sądzę jednak, że nie ma tam żadnej Unii Galaktycznej, Cesarstwa, czy czegoś podobnego – nie ma powodów dla jego istnienia. Cała planeta na tym poziomie technologii, byłaby samowystarczalna, niewiele istniałoby motywacji do handlu, jeśli w

ogóle jakieś. Odległości są za duże, a różne rasy zbyt obce dla siebie nawzajem. Nie ma potrzeby, ani woli posiadania rządu centralnego.

— Ale spory mogą powstawać – o relatywnie mniej istotne sprawy, niewarte angażowania całej planety w wojnę; w ten sposób takie pomniejsze wojenki mogą być rozstrzygane przez wynajętych żołnierzy, bezpiecznie, gdzieś daleko w przestrzeni kosmicznej. O ile takie porównanie jest w ogóle możliwe, wyobrażam sobie, że cywilizacja Taruza ma charakter zbliżony do włoskich państewek-miast w czasie Renesansu.

— I z powodu jakiegoś chwilowego pokoju, czy czegoś podobnego, został bez pracy, a więc wyruszył na barbarzyńskie obrzeża Galaktyki, żeby znaleźć jakąkolwiek robotę. Przy tych zarobkach, będzie mógł kupić u nas jakieś możliwe do transportu dobra, żeby zabrać je do siebie i tam wymienić na swój rodzaj pieniędzy.

Mijały powoli kolejne godziny.

II

Nasz niewysoki pułkownik, zabrał nas aż na wierzchołek góry. To była wyczerpująca jazda drogą, która wydawała się jednym, długim pasmem wybojów. Ze szczytu mogliśmy podziwiać metaliczną obręcz oceanu, rozciągającą się aż po sam kraniec świata. Bardziej jednak byliśmy zainteresowani obozem Thashtivarian.

Sześć wielkich, świecących oślepiająco w słońcu, statków kosmicznych wznosiło się wysoko nad naszymi głowami. Stały razem, zgromadzone niedaleko środka okręgu, utworzonego przez niskie, przysadziste konstrukcje, z których, podchodząc bliżej, słyszeliśmy dolatujący szum: były to generatory ochronnego pola siłowego, jak się domyślałem. Wewnątrz kręgu znajdowały się także dwa długie, pozbawione wyrazu budynki, podobne do przerośniętych baraków z blachy falistej.

Przy każdym generatorze stali żołnierze, trzymający przedmioty o smukłych kształtach, które musiały być jakimiś karabinami. Najemnicy nie zawracali sobie głowy staniem na baczność, ale w ich oczach widać było czujność. W górze unosił się na straży mniejszy pojazd.

— Wydaje mi się… — Langford potarł podbródek. — Wydaje mi się, że kontrola grawitacji, jakieś sposoby sztucznego uginania przestrzeni i tworzenia pola grawitacyjnego, mogłyby tłumaczyć zarówno działanie ich statków, jak też środków obrony. Ekran siłowy, to bariera potencjału. Ponadto potrafią oni wytłumiać reakcje chemiczne oraz elektryczne, być może dzięki użyciu tej samej zasady. – Daje nam to sporo cennych informacji! Nie mieliśmy najmniejszego pojęcia o kontroli grawitacji.

Portugalscy żołnierze uformowali szerszy pierścień u podnóża wzgórza i eskortowali posłów do bramy obozowiska. Mieli wymusić neutralność, nawet gdyby musieli do nas strzelać. Oficjalnie, oczywiście, Portugalia była w NATO, ale ten niełatwy sojusz w praktyce się załamał, tak jak wszystko inne.

Pozostałe delegacje wychodziły ze swoich samochodów. Rozpoznawałem Sir Wilfreda Martina z Wielkiej Brytanii, Andre Lafarge z

Francji oraz Jakowa Dmitrowicza ze Związku Radzieckiego. Pozostali byli mi obcy, chociaż wiedziałem, że były tu dzisiaj naprawdę grube ryby. Mój wzrok raczej kierował się w stronę Thashtivarian.

Nie było ich więcej niż parę tysięcy. Ten fakt całkiem nieźle uspokajał większość obaw, że przybyli do nas, aby podbić Ziemię. Mogli zetrzeć na polu walki wszystkie nasze armie, ale samo zadanie zwykłej administracji, przekraczało możliwości tak niewielkiej liczby ludzi.

Zauważyłem, że wśród nich była mniej więcej połowa kobiet – dość naturalne, przy tych wszystkich długich podróżach, jakich musieli dokonywać, a kobieta może operować nowoczesną bronią równie dobrze, jak i mężczyzna. Nie było dzieci, a wszyscy wyglądali na młodych, chociaż pewnie mieli jakiś system wydłużania życia. Byli przystojną rasą, zdumiewająco podobną do ludzi. Główna różnica polegała na prostych, ciemnoniebieskich włosach, szpiczastym podbródku, zwężającym się skośnie od kości policzkowych, ukośnych jasnych oczach i żółtej skórze – nie chodzi tu o brązowawe zabarwienie, jak u ludzi rasy mongoloidalnej, lecz o kolor ciemnego, lśniącego złota.

Nosili ciasno dopasowane spodnie, miękkie buty, luźne tuniki, pod metalowymi napierśnikami, prążkowane hełmy i krótkie płaszcze, wszystko w wielu różnych kolorach. Kiedy się odzywali, ich mowa była gardłowa i mrucząca. Wszyscy wyglądali na mocnych, twardych aż do cna.

Stojąc przy niewidocznej bramie, tworzyliśmy nieśmiało szepczący, nieszczęśliwy tłum. Podszedł do nas thashtivariański oficer i leciuteńko się skłonił.

— Bon Jour, messieurs — przywitał się w doskonałym francuskim. Wcześniej ogłoszono, że właśnie ten język będzie wykorzystywany do pertraktacji. Rok spędzony przeze mnie na Sorbonie, był jednym z powodów, dla których zostałem wybrany do tej podróży. — Proszę udać się za mną.

Poprowadził nas do jednego z baraków. W środku była jedna duża sala, zupełnie pusta, poza długimi miękkimi ławami i rzędem strażników. Nie miała okien, ale sam materiał z którego była zbudowana, wydawał się emitować światło, a powietrze było świeże. W dalszym jej końcu, naprzeciwko ław, znajdowało się podium, z czymś w rodzaju tronu.

Grzecznie wskazano nam nasze miejsca, delegaci największych mocarstw siedzieli na przedzie. Nastąpiło kilka niezbyt przyjemnych minut, w czasie których szeleściliśmy papierami, unikając nawzajem swoich spojrzeń. Potem otworzyły się drzwi na końcu sali i do środka wszedł generał Taruz.

Był wysoki i barczysty, szedł z gibką lekkością, zakrawającą niemal na pogardę. Ubrany był bardzo prosto, poza siedmiopunktową złotą gwiazdą, na swoim pancerzu. Twarz miał podłużną, szczupłą, ale nie kościstą, o blado-niebieskich oczach i wąskich wargach. Była to najzimniejsza twarz, jaką w życiu widziałem.

Usiadł na tronie i skrzyżował nogi, lekko się uśmiechając. Cisza, jaka zapadła, aż kłuła w uszy.

— Dzień dobry, panowie — powiedział w końcu. — Mam nadzieję, że mieli panowie miłą podróż. Żeby nie marnować dłużej waszego cennego czasu, przejdźmy od razu do interesów.

Taruz zrobił z palców mostek.

— Powtórzę moje warunki, aby się upewnić, że wszyscy je zrozumieli. Wolna kompania oferuje swoje usługi na okres dziesięciu lat państwu, które złoży najlepszą propozycję. Płatność ma zostać dokonana w nie więcej niż trzech rocznych ratach. Na koniec dziesięcioletniego okresu, państwo, które zawrze kontrakt ma opcję odnowienia go na kolejne dziesięć lat, po tej samej cenie, za wyjątkiem korekt związanych ze zmianą w międzyczasie wartości jego pieniądza. Jeżeli nie skorzysta ono z tej opcji, ponownie zostanie przeprowadzony proces przetargowy. Nie wydaje mi się, byśmy pozostali na Ziemi dłużej, niż dwadzieścia lat.

— Nasze usługi obejmują obronę każdego miejsca, które zostanie wskazane i pomoc we wszystkich prowadzonych wojnach. Nie będziemy prowadzili za was polityki; nasza strona będzie tylko służyć pomocą militarną we wskazanym zakresie, aczkolwiek możemy udzielać szerszych porad, które będziecie akceptować lub odrzucać, zgodnie z własną wolą. Będziemy dokładać wszelkich starań, aby jak najlepiej zrealizować nasze zadania, w obrębie ograniczeń narzucanych przez naszą liczbę i siłę; jednak to ja zachowam dowództwo nad naszymi oddziałami i wszystkie rozkazy dla nich, będą przechodziły przeze mnie.

— Myślę, że przedstawiłem istotę formalnego kontraktu, który zostanie zawarty. Czy są jakieś pytania?

— Tak! — wstał Polak. Wyraźnie był wystraszony, zdawałem sobie sprawę, że był tylko narzędziem w rękach swoich rosyjskich szefów, ale wydusił z siebie pytanie, które musiał zadać. — Skąd mamy wiedzieć, że dotrzymacie danego słowa?

Przez chwilę, jak mi się wydaje, wszyscy spodziewaliśmy się jego natychmiastowej anihilacji. Taruz jednak uśmiechnął się tylko szerzej, zupełnie niewzruszony.

— Naturalne pytanie, proszę pana. Nie mogę dać panu żadnych referencji, ponieważ najbliższa planeta mojej cywilizacji znajduje się dobre tysiąc lat świetlnych stąd, ale zapewniam pana, że Kompania Thashtivariańska zawsze pełniła służbę w satysfakcjonujący sposób i nigdy nie naruszyła zawartego kontraktu. Obawiam się jednak, że będzie pan po prostu musiał przyjąć moje słowo. Jeżeli ma pan co do nas jakieś podejrzenia, może pan dzisiaj nie składać oferty.

Polak usiadł, przełykając ślinę w suchym gardle.

— A teraz, panowie, proszę o wasze oferty — Taruz rozparł się wygodnie, nie próbując nas zachęcać, jak licytator-człowiek. Wiedział, że już wcześniej nasze napięcie doszło blisko punktu załamania.

Po raz kolejny zapadła cisza. Wtedy, powoli wstał sir Wilfred.

— W imieniu rządu Jej Królewskiej Mości i Brytyjskiej Wspólnoty Narodów — oznajmił, — proszę pana, aby nie nastawiał pan ludzi przeciwko sobie, w taki sposób. Organizacja Narodów Zjednoczonych…

Taruz zmarszczył brwi. Przez jedną, szaloną chwilę, myślałem, o wyciągnięciu broni i zabiciu go. Ale to by nic nie dało, zupełnie. Pewnie zresztą miał jakąś osłonę.

Sir Wilfred zobaczył, że został pokonany i zrobił się szary.

— A więc, dobrze, proszę pana — powiedział. — Sto milionów funtów.

Samuels gwizdnął. Ale tak naprawdę, pomyślałem sobie, to była śmiesznie niska kwota. Dwieście osiemdziesiąt milionów dolarów – nie, w Tangierze nieco mniej – w dzisiejszych czasach nie starczyłoby to nawet na stoczenie porządnej bitwy.

Wstał, nieco drżący, Andre Lafarge.

— Sto pięćdziesiąt miliardów franków! — zawołał.

— W ustalonych walutach, proszę — wtrącił Taruz.

— To znaczy… Powiem pięćset milionów dolarów… m'sieur. — Musiał wziąć głębszy oddech, aby odłożyć swą dumę na bok.

— To kapitalistyczny spisek! — zawołał Dmitrowicz. — Wasze metody są typowe dla zdegenerowanych, żądnych pieniędzy, podżegaczy wojennych.

— Zechce pan zgłosić ofertę, czy ma pan zamiar uraczyć nas wykładem? — spytał zimno Taruz.

— Trzy miliardy franków szwajcarskich! — Przynajmniej Dmitrowiczowi udało się nie użyć tego obrzydliwego słowa „dolary". Było to około 750 megazielonych.

Podniósł się ciemnowłosy człowiek w mundurze.

— Z Egiptu — wyszeptał do mnie Samuels. — W imieniu Ligi Arabskiej…

Nie muszę dokładnie opisywać paru kolejnych godzin. Był to koszmar, z powykręcanymi twarzami, bełkotliwymi głosami i przyszłością naszej planety, przerzucaną po sali jak piłka. Nad tym całym bagnem unosił się zimny uśmiech Taruza, wcielenia Szatana.

Mniejsze państwa, wkrótce odpadły. Francja pozostała dłużej w grze, niż się spodziewałem. Jej rząd musiał podjąć desperacką decyzję o zadeklarowaniu wszystkich pieniędzy, jakie mogli w tej chwili zdobyć. Przez cały ten czas, Samuels nie odezwał się ani słowem. Był dobrym pokerzystą.

Kiedy Rosja, wspierana przez inne kraje zza Żelaznej Kurtyny, zalicytowała kwotę około czterech miliardów dolarów, wiedziałem, że doszliśmy do punktu przełomowego.

Wstał Samuels.

— Mój kraj — wycedził – dziwne, jaki stał się spokojny, zupełnie nagle, — składa ofertę czterech miliardów stu milionów dolarów!

Wow! Podatnikom by się to nie spodobało, w ogóle. Ale czy jest jakaś cena wolności?

Dmitrowicz warknął i przebił nas o sto milionów dolarów.

Samuels pochwycił wzrok sir Wilfryda, który niepostrzeżenie skinął głową. Następna propozycja była w imieniu naszym i Commonwealthu: pięć miliardów.

Dmitrowicz, blady i spocony: tyle samo plus dodatkowe sto milionów.

Włosi dołączyli swoją ostatnią propozycję, do naszej.

Dmitrowicz zaklął. Nie winiłem go za to. Sześć miliardów!

Langford nachylił się do mnie.

— Teraz oddzielimy mężczyzn od chłopców — wyszeptał. Ale jego twarz również była mokra.

Samuels zaproponował sześć i pół.

— To jest zmowa! — złapał oddech Dmitrowicz. — Agresorzy sprzymierzają się przeciwko miłującym pokój narodom świata! — Odwrócił się do tyłu i stanął twarzą do nas wszystkich. — Ostrzegam was, Związek Radziecki i ludowe republiki demokratyczne zapamiętają sobie ten jawny dowód agresywnych zamiarów.

— Czy licytuje pan dalej, sir? — spytał Taruz.

— Ja… tak. Dwadzieścia pięć miliardów franków szwajcarskich — powiedział Dmitrowicz.

To było ponad sześć i pół miliarda dolarów. Sowieci musieliby uczynić swoją własną walutę wymienialną… nie, chwileczkę! Z pomocą Taruza, mogą opanować cały świat i zapłacić mu z łupów.

Samuels też to rozumiał, jak widziałem. Zatrzęsły mu się dłonie.

— Siedem miliardów dolarów!

Osiem, dziewięć, dziesięć – jak długo mogło to trwać?

Francja przyłączyła się do nas. Podobnie uczyniły inne kraje zachodnie, jeden po drugim.

„Taa” — pomyślałem sobie, — „Szwajcarzy, Szwedzi i wszyscy inni, którzy trzymają się na boku, prowadzą naprawdę cwaną grę.”

Teraz przyglądałem się bardzo dokładnie Dmitrowiczowi. Po przekroczeniu piętnastu miliardów, zdawało się, że podjął jakąś decyzję. Najprawdopodobniej instrukcje jego rządu zdecydowały coś za niego. Podbił nas od razu o niemal pięć miliardów. Od tej chwili zawsze już podnosił o tyle.

Samuels zrobił się biały. Początkowo tego nie zrozumiałem, ale Langford mi wszystko wytłumaczył.

— Zrezygnowali z przelicytowania nas. Teraz tylko próbują podnieść cenę, jaką będziemy musieli zapłacić.

Przy pięćdziesięciu miliardach dolarów, cena ta wyglądała na rujnującą.

A jeśli im odpuścimy, Sowieci ciągle mają ten swój pomysł podboju świata, żeby za nich zapłacił. Zastanawiałem się, czy my sami nie moglibyśmy przyjąć takiego kursu. Albo czy w ogóle było tyle pieniędzy na świecie?

— Sto miliardów dolarów!

To zakończyło sprawę. Dmitrowicz wziął swoją teczkę, szorstko skinął głową i dumnie wymaszerował ze swymi satelitami.

Nie za dobrze pamiętam, co działo się potem. W głowie pozostało mi ogólne wrażenie kręcących się ludzi, rozmawiających, wystraszonych.

Taruz naradzał się z Samuelsem, i udało mi się dosłyszeć kilka jego słów.

— … mam nadzieję, że jest pan zadowolony, sir. Ta konferencja była godnym podziwu przykładem dyplomacji, nieprawdaż? Strony umowy, otwarcie przybyły…

Pomyślałem, że jego poczucie humoru jest diabelsko przewrotne, ale może sobie na to zasłużyliśmy.

Zapamiętałem natomiast jak Langford, odciągnął mnie na stronę. Był bardzo blady i mówił pośpiesznie.

— Musimy stąd iść — powiedział. — Najlepiej od razu wylatujemy do domu. To oznacza wojnę.

Miał rację. Byliśmy ciągle jeszcze pośrodku Atlantyku, eskortowani przez jeden z thashtivariańskich statków, kiedy radio przyniosło wiadomości, że samobójcze oddziały powietrzne zaatakowały Amerykę bombami wodorowymi.

III

Przelecieliśmy nad resztkami tego, co było Waszyngtonem. Nie mogliśmy zbyt wiele zobaczyć, poza kłębami pyłu i dymu, ciągle wzbijającymi się na wysokość kilku mil. Pierścień przedmieści stanowił morze ruin, a poza nim widać było ogień.

Samuels pochylił głowę i zapłakał.

Wylądowaliśmy w Richmond i od razu otoczył nas plutom Marines. Zakodowane wiadomości radiowe przekazały nam, że to co pozostało z naszego rządu, zebrało się tutaj. Przypomniałem sobie, że to miasto było niegdyś stolicą Konfederacji – jeśli Taruz o tym wiedział, jakże się musiał uśmiać!

Jego statki już tu były, rozmieszczone na posterunkach w górze na niebie i zorientowałem się, że na pierwszy alarm, nad miastem włączyłoby się pole siłowe.

Jadąc na spotkanie z prezydentem, widzieliśmy, że ulice były niemal puste, poza paroma zniszczonymi samochodami i leżącymi tu i ówdzie ciałami, których nikt jeszcze nie miał czasu pozbierać. Ten widok, oraz porozbijane okna i pokiereszowane ściany, uzmysłowił mi, jaki morderczy popłoch przewalił się przez miasto poprzedniego dnia.

Ludzie uciekali na ślepo, oszalali ze strachu, zaś ci, którzy pozostali, zabarykadowali się dzisiaj za zamkniętymi drzwiami. Niedługo najprawdopodobniej zacznie się głód, ponieważ niemożliwe było przywrócenie w rozszalałym kraju podstawowych usług.

Strażnik w drzwiach nowego kapitolu, próbował zatrzymać mnie na zewnątrz. Błysnąłem mu przed oczyma odznaką, w najlepszym filmowym stylu, i odsunąłem go na bok. Nikt mi nie powiedział, że mam już przestać ochraniać Samuelsa i Langforda. Przepuścił mnie, co nie powinno się wydarzyć, ale coś w jego oczach powiedziało mi, jak bardzo był oszołomiony. Ja sam czułem w sobie wewnętrzną pustkę, i nie odżyłem jeszcze przez te kilka ostatnich godzin.

W środku była długa, przyjemnie staroświecka sala konferencyjna, w której siedzieli przywódcy kraju. Prezydent był na tyle przewidujący, że opuścił Waszyngton, razem z rządem i najwyższym dowództwem wojskowym, zaraz jak tylko otrzymał wiadomość, że Taruz jest po naszej stronie. Większość kongresu musiała zginąć – piekąc się na wolnym ogniu,

jak dopowiedział jakiś straszliwy chochlik w moich myślach – a ci, którzy również wyjechali, nie wiedzieli, gdzie jesteśmy. Pozbycie się mąciwodów, to przynajmniej pozytyw, pomyślałem, a pozostali wydawali się zbyteczni, w sytuacji gdy w całym kraju obowiązuje stan wyjątkowy. Ale byli wśród nich także dobrzy i uczciwi ludzie, których będzie bardzo brakować.

Mój wzrok powędrował przede wszystkim na Taruza. Siedział niewzruszony koło prezydenta, i w tym całym spustoszeniu wokół nas, tylko jego obca postać wydawała się naturalna. Przed nim leżała rozłożona mapa świata.

Prezydent kiwnął w naszą stronę głową.

— Dzień dobry, panowie — powiedział bezbarwnym głosem. — Mam nadzieję, że nie jesteście za bardzo zmęczeni i możecie od razu zabrać się do roboty. Potrzebujemy każdego pomysłu, który może się pojawić.

— Jaka jest sytuacja? — spytał Langford.

Samuels opadł bezwładnie na krzesło, jak obraz nędzy i rozpaczy, tępo wpatrując się w powietrze, lecz naukowiec był nieludzko spokojny i opanowany.

— No cóż, Sowieci uderzyli — oznajmił prezydent. — Ewidentnie mają nadzieję nas pokonać, wzniecić totalne zamieszanie, zanim zdołamy się na tyle zorganizować, by wykorzystać poważniej pomoc generała Taruza. Waszyngton, Nowy Jork, Filadelfia, Seattle, San Francisco, Detroit – przestały istnieć.

Kiedy poruszył głową, zobaczyłem głębokie linie na jego twarzy, które powstały niemal w ciągu jednej nocy.

— Próbują najwyraźniej nas zablokować, niszcząc nasze główne porty morskie oraz ośrodki przemysłowe — mówił dalej. — Przetaczają się przez Europę i Koreę. Wysłaliśmy rajdy na Władywostok i niektóre z ich baz na Uralu, ale nie wiemy jeszcze, czy zakończyły się one sukcesem.

— A dlaczego nie na Moskwę? — rzucił ktoś ostro, jeden z sekretarzy z rządu. — Wysadzić te potwory w powietrze, tak jak oni… O, Boże! — schował twarz w dłoniach; potem dowiedziałem się, że jego rodzina zginęła w Waszyngtonie.

— Nie myśli pan chyba, że ich kwatery główne ciągle są w Moskwie — zauważył Szef Połączonych Sztabów. — Nie mamy pojęcia, gdzie może być teraz Politbiuro.

— Myślę, że tę informację można otrzymać — oznajmił spokojnie Taruz. Jego angielski był równie dobry, co francuski.

— Co? — wszyscy odwrócili się, żeby na niego popatrzeć.

— Oczywiście — skinął głową. — Małe jednoosobowe łodzie zwiadowcze, latające na niskim pułapie, z ekranami maskującymi i odbiornikami telepatycznymi. Potrzebuję tylko wiedzieć w przybliżeniu, gdzie można ich znaleźć… …dwa tygodnie, najwyżej. Potem, jedna bomba … — wzruszył ramionami.

— To — powiedział powoli prezydent, — nieco zmienia obraz rzeczy.

— Po co? — Sekretarz Pracy pochylił się nad stołem i zaczął wygrażać pięścią Taruzowi. — Po co tutaj przylecieliście? Po co wam te wasze krwawe pieniądze – od każdego, kto chciał je zapłacić? Wy mordercze potwory, nic podobnego by się nie wydarzyło, gdybyście…

— Wystarczy już! — rzucił ostro prezydent. — Musimy stawić czoła faktom. Za późno już na wzajemne obwinianie się. — Ale nie przeprosił Taruza.

Żołnierz przyjął to za dobrą monetę.

— Ta wojna zostanie wygrana — oświadczył Taruz. — Może to wymagać trochę czasu, ponieważ moja kompania nie jest duża, ale możemy ją wygrać. Pozostaje jednak kwestia warunków. Proszę wziąć pod uwagę punkt w kontrakcie, że nasze oddziały nie wejdą do akcji, zanim nie zostanie dokonana pierwsza płatność.

— Płatność! — krzyknął Sekretarz Pracy. — W takiej chwili, pan mówi o płatności…!

Prezydent skinął głową na dwóch MP, którzy wyprowadzili szlochającego człowieka. Potem westchnął.

— Rozumiem pańskie stanowisko, panie generale — powiedział. — Nic pan nam nie jest winien, być może poza kwestiami moralnymi, co zdaje się być panu obce. Biura Departamentu Skarnu zostały zniszczone…

— Proszę wypisać mi czek na trzydzieści trzy i trzy dziesiąte miliarda dolarów — zimno oświadczył Taruz. — Muszę również poprosić, aby mojemu kwatermistrzowi generalnemu wydano pełnomocnictwa w pańskim Departamencie Skarbu, do zapewnienia tego że czek zostanie spłacony, oraz że inflacja nie obrabuje nas z jego pełnej wartości.

— Ale… — prezydent zamknął się. Wydanie pełnomocnictw, pozwalających temu stworzeniu z kosmosu na pobieranie podatków, z całą idącą za tym siłą policyjną, było rzeczą przerażającą, ale Taruz trzymał nas za gardło, i prezydent dobrze o tym wiedział. Nie można było dyskutować.

— Dobrze — powiedział prezydent. — Proszę przysłać swojego… człowieka… żeby ustalił to z naszym Sekretarzem.

— Wewnętrzna reorganizacja również będzie niezbędna — oznajmił Taruz. — Nie ma sensu opodatkowywać i kontrolować ceny, jeśli podatników, handlowców i klientów nie można zlokalizować. Wyznaczę kilku ludzi do pracy z pańskimi urzędnikami.

Prezydent uniósł głowę.

— Te koncesje ważne są tylko na okres trwania stanu wyższej konieczności — stwierdził.

— Oczywiście — gładko odparł Taruz. — A teraz, czy możemy wrócić do naszego problemu militarnego?

Kilka następnych tygodni, było jak w gorączkowym majaku. Podobnie jak wielu ludzi, chroniłem swoje zdrowe zmysły, nie czytając mnóstwa szokujących wiadomości, docierających z całego naszego płonącego globu, ale koncentrując się wyłącznie na swojej pracy. Razem z Langfordem, odwiedziłem szereg miast, uruchamiając produkcję pocisków samonaprowadzających.

Zrezygnowaliśmy z użycia naszych rakiet długiego zasięgu – do tego rodzaju spraw lepiej było wykorzystać thashtivariańskie statki – ale nasze walczące armie potrzebowały pocisków artyleryjskich, mogących trafiać prosto w cel.

Oficjalnie byłem ciągle ochroniarzem Langforda; w praktyce, kiedy tylko dowiedział się, że byłem z wykształcenia fizykiem (co dawało mi pewne specjalistyczne umiejętności, przydatne w Secret Service), zrobił ze mnie swojego asystenta. Nasza praca polegała na rozwiązywaniu problemów, związanych zarówno z kwestiami organizacyjnymi, jak i technicznymi.

Nadal miałem możliwość śledzenia ogólnego przebiegu zmagań – w większym stopniu niż wielu innych, ponieważ Samuels zaaranżował Langfordowi dostęp do najbardziej nawet tajnych informacji, które tamten przekazywał również i mnie. Wiedziałem, że w czasie tego strasznego lata, jednostki wojskowe stacjonujące w kraju, zdołały w pewnym stopniu przywrócić porządek. Były kolejne ataki na nas, ale bomby wybuchały nieszkodliwie na thashtivariańskich polach siłowych, i tylko nieistotna, niechroniona Atlanta spłonęła w piekielnym ogniu – przez pomyłkę, jak sądzę.

Z pomocą Thashtivarian, komuniści zostali wkrótce wyparci z Korei i Japonii. Atak nacjonalistów chińskich z Formozy na kontynent, był również bardzo udany, ponieważ ich armii towarzyszyły statki kosmiczne. Promienie energetyczne metodycznie topiły tory kolei Trans-Syberyjskiej, odcinając w ten sposób Sowietów od ich wschodnich terytoriów.

Kilka ataków na gigantyczne obozy więzienne, zrzuty broni dla więźniów, i wkrótce powstała Komuna Syberyjska, która walczyła razem z nami. Pozwoliliśmy, aby Vietminh opanował Indochiny, a potem izolowaliśmy ich, aby zająć się nimi później.

W Europie nasze siły zostały odepchnięte za Pireneje i Kanał La Manche, ale tam utrzymały swoje pozycje. To były zażarte walki. Parę statków kosmicznych uwijało się jak mogło, anihilując siły rosyjskie, gdzie tylko je znalazły. Ale nawet tak potężna broń była za bardzo rozproszona, tak że główny ciężar wojny wzięli na siebie nasi ludzie.

W ciągu miesiąca, odcięta została głowa sowieckiego potwora. Zwiadowcy Taruza wyśledzili i zabili ich przywódców, zlokalizowali wszystkie fabryki i bazy wojskowe, tak by ich statki mogły je zniszczyć. Ciągle jednak były miliony uzbrojonych ludzi, żyjących z podbitych krajów i walczących z desperacją, którą można by nawet nazwać heroizmem, gdyby to byli nasi. Nawet z pomocą Thashtivarian, to musiała być długa walka.

— W Richmond odbyła się spora narada, dotycząca dalszej strategii — zauważył pewnej nocy Langford. Byliśmy w obskurnym pokoju hotelowym, sprawdzając Pittsburgh. Miasto było zaciemnione, głównie po to, aby oszczędzać energię, i tylko czerwona poświata z wielkich młynów, odbijała się groźnym blaskiem na niebie. — Prezydent był za negocjacją warunków pokoju z rozproszonymi oddziałami Armii Czerwonej, ale Taruz był za zmuszeniem ich do bezwarunkowej kapitulacji. W końcu przeforsował swoje zdanie.

— W jaki sposób? — spytałem. Leżałem rozwalony na łóżku, za bardzo zmęczony, aby spojrzeć na jego ściągniętą twarz. Wydawało mi się, jakby minęła wieczność od czasu ostatniej dobrze przespanej nocy.

— Wskazując, że jego kompania nie pozostanie na Ziemi w nieskończoność i lepiej zapewnić sobie teraz ostateczny pokój, dopóki dysponujemy jeszcze takimi przeważającymi siłami. — Langford ściągnął buta i rzucił go na podłogę z głuchym stuknięciem. — Myślę, że ma rację. On zawsze wydaje się mieć rację. Ale, jakoś, nie podoba mi się to.

— Dlaczego w ogóle dostałeś taką ściśle tajną informację? — spytałem go.

— Samuels mi ją przekazał. Powiedział, że potrzebuje… bezstronnego spojrzenia. To co się dzieje, to zbyt wiele dla umysłu człowieka, a większość naszych przywódców jest za bardzo zajętych bezpośrednimi problemami dnia dzisiejszego, aby myśleć trochę dalej, poza nie. Pomyślał sobie, że może ja dostrzegę jakieś znaczące trendy i ostrzegę go o nich.

— I dostrzegasz coś?

— Nie wiem. Muszę usiąść i wszystko to sobie dobrze przemyśleć. Ale mam swoje własne bezpośrednie zadania do wykonania. Jest jednak coś, nazwijmy to przeczuciem. Nie wiem, ale jakoś wydaje mi się, że poświęcamy nasze długofalowe interesy dla chwilowych korzyści.

— Co innego moglibyśmy zrobić?

— Punkt dla ciebie. — Wzruszył chudymi ramionami i położył się na łóżku. — Historia mówi nam, że z wynajmowania najemników nie może wyniknąć nic dobrego. Ale wiesz przecież, co powiedział Shaw[1]: „Jedyną rzeczą jakiej można nauczyć się z historii, jest to że z historii nie uczymy się niczego.”

Po chwili zasnąłem.

IV

Trzecia Wojna Światowa nie skończyła się; została zgaszona płomyczek po płomyczku, w czasie kolejnych dwóch lat. Już pierwszej zimy, stało się oczywiste, że Rosja Sowiecka była rozgromiona, ale pozbycie się świata komunizmu, wymagało długiego i krwawego procesu. Dokonali tego ludzie z miotaczami płomieni, pełzający przez indochińską dżunglę, atakujący na bagnety w jugosłowiańskich górach, obserwatorzy artyleryjscy, umierający po to, aby ich jednostka wiedziała, gdzie jest jakiś pojedynczy czołg.

W tej wojnie na małą skalę, toczącej świat jak trąd, siły Taruza miały dosyć ograniczoną wartość. Mogły one zniszczyć, albo unieruchomić cały pułk wojska, ale przeciwko partyzantce nie przydawały się na wiele, poza ochroną amerykańskich baz.

Stan wyjątkowy, tutaj, w kraju, został uchylony w Nowy Rok, a specjalnie wybrany Kongres spotkał się dzień później. Nie byli oni wzorem cnót; nie można było tego oczekiwać, po tym co przeszedł naród. Publiczna pogarda dla ich kłótni, w czasie gdy miliony Amerykanów głodowały, zrobiła wiele dla podkopania naszej tradycji konstytucyjnych rządów.

[1] Powiedzenie to przypisuje się często również Heglowi, czy Churchillowi (przyp. tłum.)

Nikt nie powiedział złego słowa przeciwko Thashtivarianom, pomimo tego ile nas kosztowali. Byli bohaterami tych czasów. Gdziekolwiek pojawiali się ich dumni, złotoskórzy ludzie, zbierały się wiwatujące tłumy. Przez kraj przemknęła moda na ubiory w typie podobnym do ich, kobiety malowały twarze na bursztynowy kolor ich skóry, a włosy na niebiesko. Obcy pośród Amerykanów zachowywali się zawsze poprawnie i z rezerwą, nawet kiedy odwiedzali nasze nocne kluby, których byli dosyć hojnymi klientami.

Widziałem ich mniej przyjemną twarz, w Rosji, dokąd Langford i ja pojechaliśmy późną zimą, aby zbadać warunki życia. To było w Podolsku, niedaleko Moskwy. Na ulicach leżał mokry, brudny śnieg, a silny, wilgotny wiatr topił go na dachach domów, kap, kap, kap, jak łzy. Wylądował tam statek kosmiczny i wyszli z niego Thashtivarianie, w poszukiwaniu zdobyczy. Powietrze przesiąknięte było dymem, a w rowach widziałem wielu martwych ludzi.

Jeden z żołnierzy wyszedł z jakiejś cerkwi z naręczem gobelinów i ikon; drugi wykręcał złoty pierścień z palca starej kobiety, płaczącej i przyciskającej ręce do długiego, czarnego ubrania. Może to była jej obrączka ślubna. Kolejny z obcych prowadził ładnie wyglądającą dziewczynę, miała siniaka na policzku i szła za nim mechanicznie. Nasze rasy były podobne do siebie, co do takich atrakcji, chociaż nie mogło być ich dalszych skutków. Czułem mdłości.

Tym niemniej, takie incydenty były rzadkie i pozostawały w zgodzie ze zwyczajami Thashtivarian. Pomimo całej swojej technologii, byli barbarzyńcami, tak jak plemiona germańskie, uzbrojone w rzymski oręż. I nie utrzymywali obozów niewolników, nie eksterminowali całych populacji, ani nie zabijali więcej bezbronnych cywili, niż musieli. Nasz kraj, który był prekursorem użycia bomby atomowej i napalmu, nie powinien jako pierwszy rzucać kamieniem.

Do końca tego roku, sytuacja została uporządkowana w obu Amerykach. W Europie i w Azji ciągle panował chaos, ale mila za milą, przywracane były pokój i porządek. Amerykańscy chłopcy byli brani do wojska i wysyłani za granicę, a wielu z nich już nie wróciło. Ale w kraju proces odbudowy stopniowo postępował i wszędzie, gdzie tylko się dało rozkwitała gorączkowa i raczej niezdrowa radość.

Ludzie jednak nie mieli zbyt na wydatki, Taruz twardo wymuszał program ekonomiczny, który to gwarantował. Wszyscy chodzili w obdartych ubraniach, stali w ogromnych kolejkach po papierosy i mięso. Narzekali na szalejące podatki, ale przynajmniej nie było już dalszej inflacji.

Wielki Strajk, tej jesieni, wywołał ogólne poruszenie. Rozpoczął się od górników w kopalniach węgla, którzy widzieli że ich ciężko zarobione pieniądze zjadane są przez podatki, zaczęli więc domagać się podwyżek płac. Ale strajk rozprzestrzenił się z szybkością pożaru prerii. Przez tydzień kraj był niemal sparaliżowany. Wtedy prezydent ponownie wprowadził stan wyjątkowy i odwołał się do Armii. Żołnierze, których towarzysze ginęli z powodu braku dostaw, nie czuli sympatii do strajkujących.

Langford powiedział mi, że to Taruz zmusił prezydenta do tego i mamrotał coś o precedensie.

Przez chwilę wyglądało to jak wojna domowa. Tu i tam, rzeczywiście wybuchły otwarte zamieszki. Ale prezydent kilkakrotnie zaapelował w telewizji, a Thashtivarianie użyli swoich promieni paraliżujących i cała sprawa się załamała. Robotnicy byli ponurzy, ale wrócili do pracy. Stan wyjątkowy nie został odwołany, lecz Kongres nadal działał.

Wkrótce potem, sam Taruz, który zwykle trzymał się z tyłu, pojawił się w programie dobrze znanego komentatora politycznego. Obserwowałem go uważnie. Był dobrym aktorem. Odrzucił swą zwykłą arogancję i powiedział, że służy tylko swoim ludziom, których interesy są zbieżne z naszymi. Jasne i prawdziwe stwierdzenie na temat tego, ile jego armia znaczy dla nas w kwestiach bezpieczeństwa, kilka ocieplających uwag o czekających w domu dzieciakach, jedna lub dwie niejasne aluzje odnośnie cudów, jakich należy się spodziewać, kiedy jego wpływy wciągną nas do cywilizacji i rynku galaktycznego – i Ameryka jadła mu z ręki.

Odbyło się jeszcze jedno zaimprowizowane spotkanie, które wywołało u Langforda kolejną rundę zmartwień. Jako dowód swojego daleko posuniętego humanitaryzmu, Taruz wyjaśnił, że zainwestował większość z zapłaty swojej kompanii, w duże amerykańskie korporacje wykonujące najważniejsze prace związane z odbudową.

Pieniądze nie były zabierane z naszej planety. Zostały tutaj, w starych, dobrych Stanach. Wystarczy popatrzeć tylko na kolejny nowy budynek, kolejny wielki buldożer do uprzątania rumowisk, żeby dostrzec korzyści, jakie z tego wyciągamy.

— Wielcy przemysłowcy, pokochają go za to — zauważył kwaśno Langford. — A już szczególnie dlatego, że jego pieniądze nie są opodatkowane. Przecież wiesz, że to zostało zapisane w kontrakcie. Niezły chwyt. A ludzie przyzwyczajeni są, aby podążać za przewodnictwem biznesmenów. Słyszałem gdzieś również, że wynajął trzy największe agencje public-relations w kraju, aby zajmowały się jego wizerunkiem.

— No dobrze, ale co z tego? — stwierdziłem. — To pewne, że Taruz służy przede wszystkim swoim interesom i robi duże pieniądze, ale służy przy tym również i nam. Powiedzmy, że wykorzystałby te środki do zakupu maszyn, paliwa i wszystkiego co mu tam jest potrzebne, i wywoził to w kosmos. Co by nam z tego przyszło? A tak, przynajmniej możemy te pieniądze wykorzystać.

— I zdobywa nad nami coraz większą kontrolę — powiedział Langford. — Pieniądze to potęga, szczególnie w tak mocno zmrożonej gospodarce jak nasza, w chwili obecnej.

— General Motors, czy generał Taruz – co za różnica, kto jest właścicielem maszyn? — upierałem się. — Nigdy nie będą one twoje, moje, czy Jana Kowalskiego.

— Różnica jest cholernie duża — odparł Langford. — Ale dajmy już temu spokój. Zaczyna się wyłaniać pewien wzorzec, jednak na razie i tak nie wiem, co z tym można by zrobić.

ONZ spotkała się w Sztokholmie, w okolicach Świąt Bożego Narodzenia i przeszła do niekończącej się debaty na temat rewizji karty. Myślę, że do

tego czasu, nawet delegaci zorientowali się, że ONZ stała się tylko pobożnym gadaniem. Bez powszechnego rozbrojenia i międzynarodowej armii, potrafiącej wymusić pokój, mogła ona zajmować się jedynie drugorzędnymi sprawami.

Mniejsze kraje chętnie by widziały wprowadzenie podobnych rozwiązań, a Stany Zjednoczone, jedyne pozostałe mocarstwo światowe, mogłyby wprowadzić je w życie jednym słowem. Samuels przed spotkaniem mocno optował za tą ideą, ale potem umarł – atak serca – i człowiek, którego tam wysłaliśmy, był równie twardogłowy, jak zawsze byli Rosjanie. Nawet gdyby Samuels żył, prawdopodobnie nie zrobiłoby to żadnej różnicy.

Ameryka nie była w nastroju, aby oddać swoją władzę. Powszechnie słyszało się zdanie, że nie można ufać żadnemu innemu państwu, ponieważ wcześniej czy później zwróci się ono przeciwko nam. Zapłaciliśmy ogromną cenę za naszą dominację i nie powinniśmy jej teraz sprzedawać za torebkę orzeszków.

Natomiast zmusiliśmy nową Republikę Rosyjską do rozbrojenia i do wyrzeczenia się wojny – coś podobnego wypróbowano w Japonii po Drugiej Wojnie Światowej. Świeżo wyzwolone kraje Europy były za bardzo głodne i osłabione, aby mieć większe znaczenie.

Mniej więcej w tym okresie mogłem już rzucić pracę dla rządu, coś czego pragnąłem od dawna. Dawna atmosfera polowania na czarownice, panująca przed wojną, była już wystarczająco paskudna. Ale ponieważ lubiłem swoją pracę i wierzyłem w jej znaczenie, zamknąłem gębę na kłódkę i zostałem. Teraz jednak, całe to świętoszkowate gadanie, że tylko my możemy uratować cywilizację, było to dla mnie za dużo.

Langford również odszedł, przyjął profesurę na MIT, nie rezygnując jednak ze wszystkich swych powiązań z Richmond. Otrzymałem posadę w firmie elektronicznej w Bostonie, a więc ciągle się ze sobą często widywaliśmy. W kolejnym roku, ożeniłem się i zacząłem przywykać do całkiem komfortowo płynącego życia człowieka w średnim wieku.

W trzecim roku, poddała się ostatnia komunistyczna armia, ale nie było specjalnej celebracji, ponieważ wojna jeszcze się nie skończyła. Trzeba było przywrócić porządek w kilkunastu krajach popadających we władzę fanatycznych nowych religii, miotanych głodem i rozpaczą. Walczyliśmy z neonihilistami na Bałkanach, z Zabójcami Białych w Afryce i chrześcimuzułmanami w Południowo-Wschodniej Azji. Taruz był dużą pomocą, ale zastanawiałem się, czy to się kiedykolwiek skończy.

Przynajmniej jeszcze można było się zastanawiać.

V

Kiedy wszedłem do jego domu, Langford uniósł na mnie wzrok znad gazety.

— Witaj — powiedział. — Czytałeś najnowszą gazetę?

— Nowa wojna? — spytałem, ponieważ właśnie zaczęła się przepychanka między Portugalią i Południową Afryką, kiedy na wpół

faszystowski rząd tego ostatniego państwa, próbował przejąć kontrolę nad portugalską Angolą.

— Nie. Chodzi mi o artykuł redakcyjny. „Jakakolwiek wojna, gdziekolwiek, może rozpętać kolejny pożar na świecie. Zdarzało się już, że dla własnego bezpieczeństwa, musieliśmy nakładać prawa na narody, które wydają się nie znać prawa."

— To nie jest nowa koncepcja — stwierdziłem, rozsiadając się wygodnie na krzesełku.

— Tak, ale to bardzo konserwatywna i opiniotwórcza gazeta. Ta koncepcja zaczyna zdobywać coraz szersze poparcie.

Westchnąłem.

— I co w tym takiego złego? Pax Americana, może nie jest czymś, o czym bym marzył, ale lepsze to niż nic.

— Ale co my na tym zyskamy? Bezpieczeństwo za cenę trzymania pod strażą całej planety… poczytaj sobie historię Rzymu.

— Rzym mógłby przetrwać, gdyby był odrobinę mądrzejszy — powiedziałem. — Przypuśćmy, że podbiliby Germanię, Arabię i południową Rosję, kiedy byli u szczytu sił. To były miejsca, z których mogli nadejść ewentualni wrogowie. Cesarstwo mogłoby ciągle jeszcze istnieć.

— Tak — odparł Langford. — Obawiam się, że coś podobnego dzieje się właśnie teraz. Nigdy nie lubiłem Rzymian.

Tubylcy z Angoli, którzy dobrze wiedzieli co się z nimi stanie pod rządami RPA, opowiedzieli się za Portugalią i urządzili najeźdźcom prawdziwe piekło. Wtedy w paradę Portugalii weszły Indie, zarzucając jej niewłaściwe traktowanie mniejszości hinduskiej – co było może i prawdą, ale przede wszystkim bardzo oklepanym pretekstem. Po prostu chcieli nowych terytoriów, Goa jako ceny za pomoc i kawałka Afryki, jako zdobyczy. To z kolei zainspirowało powstania w hiszpańskim Maroku. Kroczek po kroczku i Hiszpania ruszyła na Portugalię.

Ponieważ byliśmy bardziej związani z tą ostatnią, zostaliśmy w to wszystko wciągnięci i z naszych iberyjskich baz, szybko rozbiliśmy Falangistów. Następnie przeszliśmy do spisywania traktatu pokojowego, nie konsultując tego ani z Portugalią, ani z Indiami. Taki to już był nasz narodowy nastrój, w tym czasie. Czy można nas za to winić, po tym wszystkim, cośmy wycierpieli?

Taruz przyjął trzecią ratę swojej opłaty i służył nam dalej. Kontrola ekonomiczna nadal działała, aby zabezpieczyć jego pieniądze przed inflacją, ale sprawy dla przeciętnego podatnika, zaczęły wyglądać nieco lepiej. Zaczęło się widzieć trochę nowych samochodów, nieco ubrań, które nie były aż tak tandetne. Langford pokazał mi kilka raportów: Taruz działał nie tylko jako wielki udziałowiec w istniejących korporacjach, założył także swoją własną.

— Ale czy to nie jest sprzeczne z ustawami antytrustowymi? — spytałem go.

— Jeśli nawet, to nikt go nie oskarży — odparł Langford. — Nikt nie powie nawet słowa. Teraz jesteśmy już za bardzo od niego uzależnieni.

Skinął ponuro głową i poszedł.

Zauważyłem, że sentyment dla Pax Americana, rósł z dnia na dzień. Zdawało się to jedynym logicznym sposobem, zapewnienia, że świat znów nie legnie w gruzach. W tej chwili, byliśmy niezwyciężeni; najlepiej było zabezpieczyć tę pozycję, dopóki byliśmy w stanie to zrobić.

W tym roku miały być nowe wybory prezydenckie. Partia władzy wystawiła Jamesa, przedtem mało znanego człowieka – dynamicznego, niezłego mówcę, który dobrze zapisał się jako gubernator i senator, ale nie był nikim szczególnym.

— Wypełnione dymem gabinety, co? — spytałem Langforda. — Jak to się stało, że go wybrali? Byli znacznie bardziej oczywiści kandydaci.

— Pieniądze mogą wiele — stwierdził Langford, — i nie chodzi mi tu o jakieś prymitywne przekupstwo. Myślałem o wpływach, lobbingu, rozgłosie. Taruz ma mnóstwo pieniędzy.

— Chciałeś powiedzieć, że to jest… człowiek Taruza?

— Oczywiście. A dlaczego by nie? Thashtivarianie mają u nas poważne interesy. Muszą je jakoś zabezpieczyć. Nie mówię tutaj, że James jest ich marionetką. Po prostu zgadza się z nimi w najważniejszych kwestiach i nie jest człowiekiem nieprzewidywalnym. To wszystko, co jest im potrzebne.

Zagłosowałem przeciwko Jamesowi, głównie dlatego, że słowa Langforda mnie zaniepokoiły. Byłem jednak w mniejszości.

— Myślę — oświadczył Langford w noc wyborów, — że czas już abym przestał wieszczyć zagładę i zaczął coś robić.

— Co? — spytałem. — Twierdzisz, że Taruz ma nas teraz w kieszeni, i może masz rację, ale co zwykły człowiek może z tym zrobić?

— Napiszę książkę — odparł Langford. — Podam w niej fakty i liczby. Wszystkie są publicznie dostępne, nic tajnego. Po prostu nikt inny nie przekopał się przez to morze danych i nie zrozumiał ich znaczenia. Wykorzystam sprawozdania SEC[1] pokazujące ile on posiada i ile kontroluje; Raporty Kongresu, pokazujące ustawy, które zostały odwołane i nowe uchwalone na jego korzyść; rejestr lobbystów, aby pokazać ilu ma wynajętych agentów; zebrane artykuły prasowe i raporty naukowe, ilustrujące jak kawałek po kawałku, przejął faktyczne dowodzenie siłami zbrojnymi…

Wzruszył ramionami.

— No tak, parę tysięcy ludzi może naprawdę ją przeczyta, poczują się zaniepokojeni i przekonają innych.

— Możesz… wpaść w kłopoty — powiedziałem.

— To mogłoby nawet być zabawne — wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Naprawdę może być.

Podjąwszy decyzję, Langford wyglądał na bardziej szczęśliwego i zdrowego, Nie widziałem go takim już od wielu lat.

— Thashtivarianie nie mogą nas podbić. Jest ich za mało, jak to się wskazuje od wielu lat. Tak prosta rzecz, jak strajk okupacyjny o zasięgu światowym, wygnałaby ich stąd, po prostu czyniąc dla nich Ziemię, mało zyskowną.

[1] Securities and Exchange Commission (SEC) – amerykańska komisja papierów wartościowych i giełd (przyp. tłum.)

Dostał roczny urlop w Instytucie i pojechał do Richmond, zbierać swoje fakty. Ja musiałem zostać tam gdzie byłem.

Rok minął, rozpoczynając się sporadycznymi wojnami, gdzieś w świecie, ale w kraju warunki materialne szybko się poprawiały. Niektóre z najbardziej irytujących kontroli rządowych, zostały uchylone, co sprawiło, że ludzie myśleli, iż zmierzamy w dobrym kierunku.

Taruz ponownie pojawił się w TV, wygłaszając uwagę, że według niego zaszliśmy już na tyle daleko, że możemy teraz zacząć myśleć o podniesieniu płac. W ciągu miesiąca, ustawa pozwalająca na ten krok, została uchwalona. W ogólnym podnieceniu i radości, niewielu z nas wydawało się zauważać, że Taruz, obcy, najemny żołnierz, zaczął mówić nam, co możemy zrobić.

Wieści z zagranicy, pozostawały złe. Chiny i Indie nie kochały nas i tego nie kryły. Zawarły sojusz. W British House of Commons zadane zostały pewne ostre pytania, zaś Argentyna obrażała nas już na każdym kroku. Za granicą zaczęło się wiele mówić o stowarzyszeniu się przeciwko Stanom Zjednoczonym, których ręka stawała się coraz cięższa.

I tak było. Musieliśmy mieć bazy, musieliśmy więc żądać zapasów dla ich utrzymania, i aż za często musieliśmy narzucać politykę wewnętrzną. Nie było na to rady, jeśli mieliśmy przetrwać w tym paskudnym świecie. Ale naszym satelitom i protektoratom, to się nie podobało. Sądzę, że tylko strach przed Taruzem bronił nas przed powszechną wojną z nami.

Jednak strach ten zaczął słabnąć. Wskazywano, że Thashtivarianie nie mogą być wszędzie jednocześnie, że zniszczenie bardzo rozciągniętych sił amerykańskich, pozostawiłoby ich faktycznie bez pracodawcy, gotowych do dobicia interesu, itd., itd., itd. Dopiero później dotarło do mnie, jak wiele z tych głosów, musiało być podnoszonych przez pionki Taruza.

We wrześniu ponownie rozpętało się piekło. Bomba wodorowa unicestwiła większą część Chicago. Ochraniające je pola siłowe, zostały wyłączone już dawno temu, ufając, że nie będzie kolejnych ataków. Wina została przypisana sojuszowi Chińsko-Indyjskiemu. Oni zaprzeczali wszystkiemu i do dzisiaj nie jestem pewien, czy czasami nie mówili prawdy. Ale dwa miliony martwych Amerykanów, nie usposabiały nas dobrze, do wysłuchiwania wymówek. Znowu wyruszyliśmy na wojnę z całym światem.

Moja fabryka, przeszła z powrotem na produkcję wojskową i przez kolejne dwa lata, musiałem bardzo ciężko pracować. Wszystkie nasze najważniejsze miasta, otrzymały ochronę, a ludność cywilna została zorganizowana na sposób quasi-wojskowy, tak więc w kraju wszystko szło gładko. Thashtivarianie ciężko pracowali po naszej stronie i Sojusz poddał się po kilku miesiącach. Wojna jednak przeciągała się, ponieważ w tym czasie nikt w kraju już nie dyskutował z ideą Pax i trzeba było ją wepchnąć w buntownicze gardło niechętnej planety.

Tak się stało. Po dwóch latach, żaden kraj na Ziemi za wyjątkiem nas, nie miał żadnych sił zbrojnych poza lokalną policją. Wszystkie rządy były naszymi marionetkami, a amerykańskie garnizony i inspektorzy byli wszędzie. Ciągle nazywaliśmy naszych prokonsuli „ambasadorami”, a armie okupacyjne „siłami sojuszniczymi”.

Nikogo jednak nie udało się oszukać, ani też nie mieliśmy takiego zamiaru. Cała ta konstrukcja nie mogła działać w środowisku demokratycznym, tak więc uchwalona została poprawka do Konstytucji, która w praktyce znosiła Konstytucję. Kongres zachował pewną władzę, ale równowaga przesunęła się obecnie w stronę władzy wykonawczej.

Czekałem na powstanie tajnych policji i maszerujące tłumy w mundurach, ale nie pojawiały się. Ciągle obowiązywał spory zakres wolności słowa, pod warunkiem, że nie krytykowało się podstaw lub najwyższych przywódców. Stosunkowo mało było aresztowań politycznych, a i w takich przypadkach niewiele brutalności, jeśli w ogóle jakaś.

Jak na dyktaturę, ta była stosunkowo łagodna. A pod wieloma względami, była ona mocno nakierowana na racje stanu, w takich sprawach jak reformy waluty międzynarodowej, zwiększenie zakresu swobody podróżowania, czy prace nad uzdrowieniem zdewastowanych części świata.

Nie była to może Utopia, ale zastanawiałem się, czy nie było czasami lepiej, niż na to zasługiwaliśmy.

VI

W czasie wojny, Langford został ponownie powołany do służby rządowej – tym razem do wywiadu – i został w niej nieco dłużej, tak więc nie widziałem go od niemal trzech lat. Potem wrócił na swoje stanowisko profesorskie i wybrałem się do niego, aby przywitać go w domu. Siedzieliśmy przy ogniu, ze zgaszonymi innymi światłami, sącząc dobre, czerwone wino i nieśpiesznie rozmawiając. Płomyki świeciły, tańczyły i szeptały do nas cichymi suchymi głosami, w kątach poruszały się ogromne cienie, rzucane przez stary obraz i masywne, ciemne meble. Na dworze do drzwi pukał zimowy wiatr. Było nam dobrze, wygodnie i bardzo po ludzku.

— Podczas wojny często widywałeś się z Taruzem? — spytałem go.

— Tak — odparł Langford. Czerwone światło błądziło po jego jastrzębiej twarzy, z zadziwiająco łagodzącym skutkiem. — Czasami całkiem blisko współpracowaliśmy ze sobą. Wiedział, co o nim myślę, ale nie obchodziło go to, dopóki zachowywałem się lojalnie – prawdę mówiąc, wydaje mi się, że nawet mnie polubił. Nie jest wcale taki najgorszy. To nie żaden diabeł wcielony, tylko sprytny poszukiwacz przygód.

— A więc, twoja książka pewnie nigdy nie zostanie napisana? — stwierdziłem.

— Pewnie nie — śmiech Langforda był cichy i smutny. — Nie dlatego, że to zabronione, ale dlatego, że jest już za późno. Thashtivarianie nie podbili Ziemi, lecz – dziel i rządź! – użyli nas, byśmy podbili ją dla nich.

— A teraz kupili sobie tych z nas, którzy posiadają planetę — wymamrotałem.

— To nie takie proste. Dokładniejszym byłoby stwierdzenie, że to oni trzymają wodze. W czasie mniej więcej dziesięciu następnych lat, zobaczymy stopniowe przemiany, przekazujące w ich ręce coraz więcej i

więcej władzy, ale w niezbyt natrętny sposób. Taruz jest na to zbyt mądry.

— A co zrobi z nami?

— Będzie nami rządził. Co innego miałby? Nie wierzę, że szaleńczo pożąda władzy. Myślę, że on i jego bezpośredni sukcesorzy będą łaskawi i tolerancyjni. Dlaczego mieliby zachowywać się inaczej? Rządzenie Ziemią, to dochodowy interes. Oznacza to wielkie posiadłości ziemskie, luksusowe domy, mnóstwo ludzkich służących i generalnie życie na wysokiej stopie – to nie jest żadna ideologiczna tyrania w rodzaju Hitlera, czy Stalina.

Dodał po chwili:

— W zeszłym tygodniu dotarł kolejny statek pełen thashtivariańskich imigrantów. Do tej pory, musi ich już być chyba z milion. Ale nigdy nie będzie ich naprawdę wielu, ponieważ oni mają być arystokracją, a liczba arystokratów musi być utrzymywana na niskim poziomie.

— Nie jesteś już taki zgorzkniały, jak byłeś ostatnio — zauważyłem.

— A jaki sens dyskutować z rzeczami dokonanymi? Jako naukowiec, nauczyłem się godzić z faktami. A przechodząc do morału całej historii, Taruz jest tym, na co ludzkość sobie zasłużyła. Zjednoczona planeta, mogłaby się z niego śmiać. Pokojowa planeta, nigdy by go nie wynajęła.

— Rzeczywista sytuacja była inna — zaprotestowałem. — Nie możesz potępiać swojej rasy, tylko dlatego, że Taruz przybył w nieszczęśliwym momencie.

— To prawda. Ale nawet w tej sytuacji, wolny świat powinien pozostać wolny. Moglibyśmy całkowicie powstrzymać wojnę, czyniąc jasnym od początku, że jeśli wynajmiemy Taruza, naszym jedynym rozkazem dla niego, będzie aby wynosił się z Ziemi do diabła.

— Albo może powinniśmy przekazać jego usługi jakiemuś małemu, neutralnemu, ale demokratycznemu państwu. Ewentualnie, jeśli nasze dywagacje brzmią zbyt mało realistycznie, mieliśmy szanse zjednoczyć naszą rasę na spotkaniu w Sztokholmie. Rząd planetarny, ludzka armia planetarna i Taruz stałby się niepotrzebny. Wtedy nawet by nie próbował brnąć w to dalej, wiedząc że nikt mu nie zapłaci.

— Ale my musieliśmy być mądrzy i realistyczni. Musieliśmy szukać Numeru Pierwszego. Si monumentum requiris, circumspice[1] — Langford roześmiał się szorstko.

— I nic nie możemy zrobić, nawet teraz? — zastanawiałem się głośno.

— Nie, nie możemy. A kogo to obchodzi? Spytaj sam siebie, Hillyer. Masz rodzinę, dobrą pracę, miły dom, bezpieczeństwo i szansę na rozwój. Czy to, że kiedyś będziesz musiał mówić „panie" każdemu Thashtivarianinowi, ma oznaczać odrzucenie tego wszystkiego aby umrzeć na barykadach?

Pokręciłem przecząco głową.

— Mogło być znacznie gorzej — mówił dalej Langford. — Taruz rozgrywał swoją grę bezlitośnie. Na stół rzucał życia ludzkie, liczone w milionach. Teraz jednak, z tego powodu, że chce tu zostać, osiągniemy

[1] „Jeśli szukasz pomnika, rozejrzyj się dokoła" – słowa pochodzące z epitafium Christophera Wrena, architekta, budowniczego katedry św. Pawła w Londynie, pochowanego w krypcie w jej wnętrzu (przyp. tłum.).

pewne korzyści. Koniec wojen, co oznacza gigantyczną nadwyżkę ekonomiczną, z której przynajmniej część przypadnie dla ludzi. Być może, ostatecznie, oznaczać to będzie koniec biedy na świecie. Niewykluczone, że uda nam się poznać wiele z ich wiedzy naukowej, szczególnie kiedy popadną w lenistwo i zaczną szkolić ludzkich techników, aby kierowali ich maszynami. Utraciliśmy wolność, ponieważ nie potrafiliśmy działać razem, jako rasa. Teraz jedność zostanie wymuszona, i będzie trwała.

— Ale wolność utraciliśmy — powiedziałem. — Podejmowane odtąd decyzje może i będą mądrzejsze, ale będą one podejmowane za nas, przez innych. Zapisz to po stronie negatywów.

— Zupełna racja. To coś, z czym będziemy musieli żyć przez wieki.

Langford wpatrywał się w ogień, a na jego ustach błąkał się leciutki uśmieszek.

— To stary schemat w historii. Rzym, rzymska Brytania – wynajęci żołnierze wzywani byli na pomoc i kończyło się to przejęciem przez nich władzy. Ale są również inne elementy tego schematu. Zdobywcy byli często asymilowani kulturowo, jak Normanowie w Anglii. Albo wkrótce gnuśnieli i udawało się ich wyrzucić, jak Hyksosów z Egiptu. Ludzkość może poczekać, aż wydarzy się któraś z tych rzeczy. Nasi pra-pra-pra wnukowie będą zjednoczeni i wolni. My musimy rozpocząć tworzenie fundamentów dla tego. Już teraz.

Osuszył kielich do dna i odstawił go na stół.

KONIEC